

Tygodnik Powszechny

KRAKÓW

T. Nr 24 17-06-2001

Teatr

Taki godny teatr

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

■ „Akropolis” to jeden z najtrudniejszych dramatów Stanisława Wyspiańskiego, stawiający przed inscenizatorem nie lada trudności. Wystawiony źle pogrąża się w bełkocie, a Wyspiański staje się grafomanem i nędznym wierszokletą. Niedawno udało się pięknie wystawić część „Akropolis” Piotrowi Cieplakowi we Wrocławiu. Próba podjęta przez Ryszarda Peryta w Teatrze Narodowym jest wielkim fiaskiem.

Obsadzony w pięciu rolach Mariusz Bonaszewski przychodzi do teatru jako Konrad z „Wyzwolenia”, by wcielić się kolejno w protagonistów „Akropolis” – Hektora, Jakuba i Harfiarza. W akcie pierwszym, w którym ożywają nagrobne figury katedry wawelskiej, Bonaszewski jest postacią z innego dramatu, nie wiadomo trochę, dlaczego znalazł się w katedrze, czy szedł z raju, czyli z piekła. Czy jest figurą z narodowej nekropolii, czy Salwatorem, który przychodzi po to, by wszcząć dzieło zmartwychwstania? Pierwsza zasadnicza wątpliwość mnoży następne. I pewnie wspaniale było

by pisać traktaty interpretacyjne i uczone egzegezy na temat spektaklu Peryta, gdyby nie fakt, że niemal od początku wiadomo, że to przedstawienie jest zupełnie puste w środku, że – trawestując poetę – „na proch się jego myśl skruszyła”, jeśli w ogóle jakakolwiek myśl w nim była. Aktorzy nie wierzą w to, co grają, widzowie nie wierzą aktorom, reżyser nie wierzy sobie. Ziejąca pustką widowiska stygnie w mroźnym prądzie, który płynie ze sceny.

Patetyczne dekoracje Ewy Starowieyskiej pysznie toną w majestatycznej czerni. Wysokie kolumny konfesji św. Stanisława giną gdzieś wysoko w mroku. Nie ma srebrnej trumny, zostały tylko srebrne anioły. W głębi wawelski krucyfiks. Po bokach sceny uśpione posągi wawelskie, które po kolei będą ożywać. Anioły zbiegną z ołtarza, dzwoniąc groteskowo blaszanymi skrzydłami. Maszyna teatralna rusza. Efektowna scenografia podkreśla nieznośną sztuczność aktorstwa i obnaża myślową pustkę spektaklu. Nie pomagają piękne efekty, jak choćby złote iskry, które spadają na scenę ze scenicznego nieba. Recytacja, recytacja, recytacja, a raczej gadanie, czyli słowa, słowa, słowa i śladu myśli.

Jak to się ma do rewolucyjnej myśli Wyspiańskiego? Do rozpadu wawelskiej katedry, do zmartwychwstania, do uwolnienia ducha, które jest finałem dramatu? Nijak. Teatr Peryta więzi wszystkie zdarzenia i postaci w groteskowym, teatralnym właśnie strupieszeniu. Jest jak opera

bez muzyki, czasem wręcz nie do wytrzymania. Nie wiadomo, czemu służą kolejne epizody. Po co na scenie pojawiają się bohaterowie trojańscy i ci z historii Jakuba. Wiadomo natomiast, że rzecz toczy się o sprawę narodową. Ale jaką, również nie sposób się zorientować.

Wobec braku idei reżysera aktorzy zaczynają działać w zgodzie z zasadą „ratuj się kto może”. Urządzają własne spektakle na gruzach teatru Peryta. Najlepiej broni się Teresa Budzisz-Krzyżanowska, grająca Hekubę i Rebeke. Krzysztof Kolberger, obsadzony jako Parys i Ezaw, odgrywa postać, która najbardziej przypomina psotnego chochlika. Ignacy Gogolewski jako Aktor, Priamus i Izaak próbuje epatować widownię swoją starością, którą tak skutecznie wygrywał w kilku ostatnich rolach w Narodowym, ale tutaj starość nie wystarcza. Mariusz Bonaszewski zaś stosuje swoje wypróbowane chwytły, lekkie rozedrganie, niepewny głos i niepewność gestów. Idea reżysera (?), by przez wielość ról nałożonych na jednego aktora pokazać ciągłość dziejów opisanych w „Akropolis”, również obróciła się przeciwko spektaklowi. Obnaża jedną z największych słabości polskiego teatru, w którym aktorzy wszystko po kolei grają dokładnie tak samo. Czy to Konrad, czy to Hektor, czy to Jakub, czy też Harfiarz, wszystko da się opędzić starym dobrym, wypróbowanym „Bonaszewskim”.

Przedstawienie Peryta jest wielką demonstracją martwego teatru, który nie interesu-

je nikogo. Źle się stało, że Jerzy Grzegorzewski, który tak pięknie przywraca polskiej scenie Wyspiańskiego, pozwolił na takie przedstawienie w swoim teatrze. Do tej pory największą zaletą Narodowego było to, że mimo wielu kontrowersji i artystycznych porażek był to teatr żywy. Tym razem z głuchym łoskotem zatrasnęły się nad sceną wrota zakurzonego muzeum teatralnego, do którego nie dotrze żaden Salwator. To „Akropolis” nie daje żadnej szansy na zmartwychwstanie.

W antrakcie usłyszałem rozmowę pary teatromanów: „Wiesz, jakby to powiedzieć, to takie godne przedstawienie. Teraz należałoby je skonstrastować Racinem”. Wspaniale, że są ludzie, którzy przytłoczeni wielkością nazwisk twórców i żyrandola wiszącego nad purpurową widownią czują się godnie w teatralnym muzeum. Ale przecież zamienianie teatru w muzeum jest zamienianiem go w trupiarnię, a to naprawdę zajęcie wysoce niegodne. Dlatego „Akropolis” Peryta nie jest żadnym godnym teatrem, ale zwykłą kłapą. I pewnie nie warto byłoby o tym wszystkim pisać, gdyby nie fakt, że rzecz zdarzyła się w Teatrze Narodowym, który tak bardzo cenię i na który tak bardzo zawsze liczę.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI, „AKROPOLIS”, REŻ.: RYSZARD PERYT, scen.: Ewa Starowieyska, muz.: „Exodus” Wojciecha Kilara, premiera w Teatrze Narodowym w Warszawie 28 kwietnia 2001.